

Newsweek TEMAT Z OKŁADKI

MACIEJ STUHR

# BOJĘ SIĘ OSUNAĆ W ŚMIESZNOŚĆ

Staram się za wszelką cenę zostać rozważny, choć dzisiaj to trudne, o ile niemożliwe – MACIEJ STUHR opowiada o męskich rolach, bańkach społecznych i o tym, czego nauczył się w pandemii

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE MAREK SZCZEPAŃSKI

**NEWSWEEK:** Pół roku pan nie grał i nie zarabiał. Jak się pan czuł na utrzymaniu żony?

**MACIEJ STUHR:** Tak się złożyło, że tuż przed pandemią zainwestowałem wszystkie oszczędności w jakieś prace budowlane i zostałem bez gotówki. Jakby tego było mało, w styczniu 2020 roku zrezygnowałem z etatu w Nowym Teatrze u Krzysztofa Warlikowskiego. No więc jak wybuchła w marcu pandemia, zrobiło się ciekawie. Nie narzekam na swój los, ale to było nowe doświadczenie.

**Na szczęście żona spełnia się zawodowo.**

– Dla mnie to było nieco stresujące, bo wychowałem się i żyję w kulturze, w której to facet zapewnia środki na życie. Ale po jakimś czasie poczułem, że chyba potrafiłbym poradzić sobie z sytuacją, że to żona mnie utrzymuje, a ja realizuję się w pracach domowych. Ale może się mylę.

**To podważenie męskiej roli?**

– Kobiety zaczynają wyraźnie komunikować społeczeństwu, czego chcą, jak wyobrażają sobie przyszłość. Mężczyźni za to siedzą przyczajeni, co to wszystko dla nas znaczy. Pełnimy swoje role siłą jakiegoś rozpędu, choć intuicyjnie wyczuwamy, że za chwilę wszystko się zmieni i będziemy musieli wymyślić się na nowo. To stąd, z tej niepewności, wynika tak wielki opór męskiego świata przed słynnym genderem. Przechodzimy, że jak zaczniemy majstrować przy tych odwiecznych rolach, to nie wiadomo, czym to się skończy. Bo jeśli nie jest tylko męską rolą zarabiać i przynosić na plecach przysłowiowego upolowanego bawołu, to co nią jest? Tylko niewielu z nas jest w stanie na to odpowiedzieć.





**A pan?**

– Nie sądzę, że pieniądze przynoszone do domu i pozycja społeczna to jedyne wartości, jakie mam do zaoferowania rodzinie.

**Nauczył się pan czegoś podczas pandemii?**

– Lista jest długa: ściągałem córce manicure hybrydowy, co moim zdaniem wymagało nabycia wiedzy niemal tajemnej. Posiadłem podstawy fryzjerstwa chłopięcego, przekopałem dwa razy rów melioracyjny.

**Czyli głównie roboty ręczne?**

– Jak się kręci film, to trwa to latami albo co najmniej miesiącami. Po drugie, zawsze jest napinka, żeby dostać choćby Oscara i wstrząsnąć publicznością. A potem film wchodzi do kin i owszem, jest jakaś grupa wstrząśniętych, masa obojętnych i jeszcze więcej tych, którzy kręcą nosem, pytając: po co ktoś nakręcił takie gówno? Prace fizyczno-ogrodnicze mają tę fantastyczną cechę, że widać efekt natychmiast i jest on niepodważalny. Po latach w branży artystycznej to duża ulga.

Nie mam wątpliwości, że sam bym takiego czasu sobie i rodzinie nie podarował. A bardzo go potrzebowałem, żeby przekonać się, kim jestem, poza tym, że aktorem i osobą publiczną? Zamknięcie dało mi możliwość poczucia, czym jest, że się ośmielę powiedzieć, prawdziwe życie. Jednym z moich ulubionych zajęć stało się rąbanie drewna na opał. Któregoś razu, biorąc z przyjemnością siekierę do ręki, zastanawiałem się nawet, dlaczego tak to mi się podoba.

**I?**

– Doszedłem do wniosku, że nikt poza żoną i synem tego nie widzi i nie ocenia. A od 30 lat cokolwiek robię, zostaje to poddane ocenie. Oczywiście na własne życzenie, widziały gały, co brały, co nie zmienia faktu, że to życie w nieustającym stresie. Machanie kawałkiem żelaza na drewnianej ręczce nie na scenie albo bez kamery wycelowanej we mnie było bardzo uwalniającym uczuciem. Coraz częściej zastanawiam się, czy dzisiaj zdecydowałbym się na ten zawód. Przez tysiące lat żyliśmy w cudownym błogostanie niewiedzy, co ludzie mówią o nas za plecami. A teraz mamy w smartfonie, który mieści się w każdej kieszeni, możliwość zobaczenia, co się o nas mówi, ponieważ tym, którzy to piszą, nie przychodzi do głowy, że my też możemy to przeczytać. Uczennica, która przyjdzie do szkoły, może zajrzeć na czat swojej klasy i dowiedzieć się, że w tej sukience wygląda jak gruba parowa, choć nikt jej tego nie powie prosto w oczy. Artyści doświadczają tego w dawce wielokrotniej, co wpływa na nasze poczucie pewności siebie, jeśli chodzi o wykonywanie zawodu.

**Co panu wyszło w tym rachunku?**

– Mam już swoje lata, pozycję i nie muszę pracować jak szalony, non stop. Muszę sobie takie kwarantanny urządzać dobrowolnie i na własnych zasadach. Choć wiem, że będzie trudno, bo lubię swoją pracę.

Kiedyś przeczytałem reportaż o opiekunach w hospicjach. Utkwiła mi opowieść jednej z pielęgniarek, że jeszcze nie słyszała, żeby ktoś na łożu śmierci powiedział, że za mało pracował. Odwrotne

deklaracje były dość częste. To dało mi do myślenia. Uważam, że praca jest dobrem, luksusem, czasem zaszczytem, bywa, że warto dla niej stracić kawałek zdrowia. Ale zrozumiałem, że nie warto poświęcać wszystkiego! Z drugiej strony kultura jest tak delikatnym środkiem wyrazu, że zanim ktoś się zorientuje, że coś jest z nią i jej twórcami nie tak, muszą minąć długie miesiące, a może i lata. Bo tylko znikoma część ludzi potrzebuje na co dzień teatru, książki, opery, koncertu. A w związku z tym, kiedy spotyka nas poważne nieszczęście, to kultura nie ma prawa wychodzić na pierwszy plan.

**Ale może jest odwrotnie, siedząc w domu, tak się nudziliśmy, że oglądaliśmy jeszcze więcej seriali, filmów, czytaliśmy jeszcze więcej książek. Dla większość społeczeństwa jesteście wręcz niezbędni.**

– To prawda, zwłaszcza platformy streamingowe stały się buforem, w którym ludzie znajdowali trochę wytchnienia w trudnych czasach. Ale to wycinek świata kultury, raczej użytkowej, komercyjnej. Obracam się głównie w środowisku filmowym i teatralnym. Dla teatru i jego publiczności ten rok był stracony. Ludzie pracujący w tej branży bardzo boleśnie tego doświadczyli. Znam przypadki osób, które żeby przeżyć, musiały rzucić swoje artystyczne zawody i zatrudnić się choćby w warsztacie samochodowym.

**Mam wrażenie, że pandemia trochę spuściła powietrza z powagi waszego zawodu. Przez lata mówiło się, że aktor nie może pojawić się na spektaklu tylko w jednej sytuacji...**

– Kiedy jest martwy. Etos naszego zawodu był morderczy. Byłem na scenie z Krystyną Jandą, kiedy odchodził jej mąż, a nasz przyjaciel. Graliśmy „Boską”, nieśmiertelną farsę. Nieraz wystąpiłem z gorączką, bo nie byłem w stanie wziąć na swoje barki odpowiedzialności, że wycieczka dajmy na to z Olsztyna, która jedzie właśnie autokarem na nasz spektakl, zastanie zamknięte drzwi do teatru. Tak byliśmy uczeni w szkołach teatralnych i przez starszych kolegów. Wszczepiano nam jakiś rodzaj misji, chociaż to słowo mnie drażni. Pandemia to pierwszy moment w naszej branży, kiedy aktor mówił: mam temperaturę albo miałem kontakt z zarażonym covidem i dyrekcja mówiła bez zmrużenia okiem: OK, to zostań w domu. To było doświadczenie bez precedensu.

**Z jakimi emocjami wrócił pan na scenę?**

– Powiem nieskromnie, że z przyjemnością. W domu ciągle coś robię nie tak: źle zaopiekuję się dzieckiem, nie umówię fachowca do pralki... Codziennie ponoszę porażki. A wracam na plan „Szadzi”, jakieś głupoty ludziom wciskam, bo przecież nie jestem serijnym mordercą, którego gram, a jednak ludzie się cieszą, boją, ktoś nawet bije brawo... Wszystko układa się tak, jak to sobie zaplanowałem. Na planie życie smakuje inaczej.

**Krystyna Janda mówiła mi, że granie jest dla niej bardziej naturalną czynnością niż gotowanie czy przegląd samochodu.**

– W przypadku takich artystów jak Janda czy Jerzy Stuhr tak już musi być.

**Pana matka mówiła mi kiedyś, że żyła z mężem, który był nieustannie w pracy. Przywoziła mu koszulę**



**W 80 PROCENTACH  
FILMÓW MIAŁEM  
NADZIEJĘ, ŻE WYJDĄ  
LEPIEJ, NIŻ WYSZŁY**

**do teatru, żeby zmienić po spektaklu, wsiadał do taksówki i jechał na plan filmu. Pan też tak żył?**

– Przecież cała Polska widzi, jak powtarzam drogę ojca, chociaż staram się wyciągać wnioski z jego życia, żeby moje nie wyglądało tak samo. I czasami się udaje. Ale rozmawiałem parę dni temu z mamą i była szczęśliwa, że tata dostał rolę we włoskim filmie i we wrześniu wyjeżdża, bo już od roku siedzi z nim zamknięta w czterech ścianach.

**Pan też jest uzależniony od adrenaliny, wyjścia na scenę, przed kamerę?**

– Adrenalina to tylko część problemu. W przypadku ludzi twórczych, a sporadycznie się za takiego uważam, robi się problem... To chyba się nazywa sublimacja. Po kilku tygodniach odpoczynku złapałem się na tym, że zacząłem rysować, szkicować, chociaż nigdy tego nie robiłem. Dla znajomych pisałem wierszyki, piosenki... Miałem potrzebę przetworzenia rzeczywistości w jakieś działanie artystyczne. To było silniejsze od chęci wychodzenia przed publiczność.

**Pomyślał pan po paru miesiącach na wsi, że może Marek Kondrat nieźle to sobie wykombinował, że dał sobie spokój z aktorstwem?**

– Trafił pan dość celnie, bo kilka razy przeszło mi to przez głowę. Przyjemność nicnierobienia okazała się dość krótka. Owszem, przez pierwsze trzy miesiące było zachłyśnięcie się rodziną, wol-

nym czasem, ale potem przyszła refleksja, że chyba jeszcze to nie ten moment, żeby przejść na emeryturę. Choćby mentalną.

**Ponad milion ludzi obserwuje pana wypisy na FB, wiele z nich było gorącymi komentarzami do polskiej polityki. Ostatnio pana zapał do tej sfery życia wyraźnie osłabł.**

– Obawiam się, że ma pan słuszne przypuszczenia. Niemal każdego dnia przychodzi mi pomysł na komentarz do tego, co się dzieje, i niemal każdego dnia wygrywa ze mną poczucie, że to nie ma sensu. I komentarz zostaje w głowie.

**Dlaczego?**

– Bo moje słowa trafiają tylko do mojej bańki społecznej. Będę przekonywał tylko przekonanych, a przy okazji narażę się na kolejny hejt i materiał w „Wiadomościach”, że jestem wrogiem ojczyzny i anty-Polakiem. Ale mam też poczucie, że i tak wszyscy wiedzą, co młody Stuhr ma do powiedzenia.

Opinie osób, które złośliwcy nazywają celebrytami, przez dużą część społeczeństwa są traktowane z pobłażaniem. Niejednokrotnie miałem wrażenie, że mój głos jest wodą na młyn dla strony przeciwnej – oto elita wyje, a to znaczy, że została celnie trafiona. Przez długi czas byłem fanem Facebooka. Traktowałem go z nadzieją, ostatnio obawiam się, że narobił mnóstwo szkody na świecie.

**Jakiej?**

– Połączenie przycisku „lubię to” z algorytmami FB, które na podstawie tego, co nam się podoba, podsuwają nam podobne

treści, sprawiło, że dzisiaj każdy może uważać, że ma rację. I ma na to dowody. Przez tysiąclecia nawet jeśli ktoś myślał, że ma rację, to musiał się mierzyć z niewygodną prawdą, że są i tacy, którzy mają przeciwne zdanie. A teraz odpalamy FB i niezależnie, czy jesteśmy lewakami, prawakami, antyszczepionkowcami, czy ekologami, znajdziemy dowody, że takich jak my jest więcej i tylko się utwierdzamy w naszych poglądach. Krótko mówiąc, znowu mamy rację. Sam nie jestem wolny od tego mechanizmu. I coraz bardziej ręka mi drży, kiedy mam użyć przycisku „udostępnij” czy „lubię to”, bo mam mniej pewności, jakie są prawdziwe tego konsekwencje.

**Więcej w tym jest zniechęcenia, lęku o siebie czy niewiary w społeczną skuteczność tego, co pan pisał jako obywatel, komentator życia społecznego?**

– Dowody na moją skuteczność są raczej wątpliwe. Tuż przed naszą rozmową oglądałem „Fakty” i zdałem sobie sprawę, że nie możemy myśleć o pewnych instytucjach, mechanizmach tak, jak robiliśmy to przez lata. Mówiąc NIK, nie mamy na myśli Najwyższej, podkreśliłem to słowo, Najwyższej Izby Kontroli, tylko Mariana Banaś. I to nie NIK stwierdza nieprawidłowości, tylko Banaś zbiera na kogoś haki. I to nie mówię ja, tylko to jest właściwie oficjalne stanowisko polskiego rządu. Nie ma już prokuratury, która przedstawia komuś zarzuty, tylko Zbigniew Ziobro prowadzi swoją grę. Nie ma interesu ekonomicznego polskiego giganta paliwowego, tylko zastanawianie się, jakie zlecenie jego szef Daniel Obajtek dostał od szefa rządzącej partii.

**Boi się pan?**

– To nie jest moja pierwsza myśl, ale czasami robi się nieprzyjemnie. Może w cichej ulicy ktoś da mi w mordę albo zastrzeli... Nie kryguję się. To są tematy, które rozważam z żoną od dłuższego czasu.

**Przez lata mówił pan, że artysta jest od wsadzania kija w szprychy, zabierania głosu w sprawach publicznych...**

– Żyjemy w czasach, w których granica między człowiekiem o precyzyjnie i mocno sprecyzowanych poglądach a oszołomem jest bardzo cienka. A emocje, które towarzyszą każdej dyskusji, nieważne, czy o sprawach naprawdę ważnych, czy trzeciorzędnych, są gigantyczne.

**Przepraszam, że tak skaczę z tematu na temat, ale zwrócił pan uwagę na dyskusję, czy Robert Lewandowski ma strzelić 41. bramkę w lidze niemieckiej, czy nie?**

– Według mnie ktoś perfidnie podkreślił emocje, odgrzązał resentymenty, przywołał drugą wojnę światową, żeby jeszcze raz napuścić Niemców na Polaków i odwrotnie. Bo przecież z punktu widzenia zdrowego rozsądku nie ma o czym dyskutować: spor-

towiec jest od bicia rekordów, chce być jak najlepszy. Ta dyskusja była absolutnie pozbawiona sensu, a jednak rozgrzała ludzi do czerwoności. W takiej atmosferze łatwo w komentarzu napisać zdanie za dużo, zrobić o krok za daleko, po którym człowiek staje się śmieszny. A boję się osunąć w śmieszność, o którą i tak już jestem podejrzewany przez dużą część społeczeństwa. Staram się za wszelką cenę zostać rozważny, choć dzisiaj to trudne, o ile niemożliwe.

**Udział w filmach Patryka Vegi to akt aktorskiej rozwagi?**

– Vega zaprosił mnie po raz pierwszy do filmu „Polityka” i kiedy przeczytałem scenariusz, stwierdziłem, że niezależnie, jaka będzie jakość artystyczna, warto w tym filmie wziąć udział, bo pokazuje kilka historii o kulisach władzy, o których przeciętny obywatel nie ma pojęcia.

Historia kibiców, którzy przejmują zgodnie z prawem klub sportowy, też wydała mi się ciekawa. Nie ukrywam, że liczyłem, że efekt będzie lepszy niż to, co wyszło. Ale takie rzeczy w moim aktorskim życiu zdarzały się wielokrotnie. Właściwie mogę powiedzieć, że w 80 procentach filmów, do których się zapisywałem, miałem nadzieję, że wyjdą lepiej, niż wyszły. Mam też świadomość, że Patryk Vega wie coś o polskiej publiczności filmowej, o czym nie wie wielu nawet wybitnych reżyserów, bo na każdy z jego filmów idzie gigantyczna widownia.

**Pan doskonale wie, że to nie jest poważny argument.**

– Ale tego faktu nie można pominąć. Jeśli chce się w tej branży funkcjonować, trzeba mieć kontakt z masową publicznością. Poza tym Vega daje aktorom możliwość zmiany swego wizerunku, do którego publiczność

jest przyzwyczajona. Może to też powód, dla którego nawet wybitni aktorzy godzą się wystąpić w jego produkcjach. U niego na planie można trochę się pobawić tym zawodem. Bo on również czasami na tym polega, a nie tylko na misji.

**Wizerunek to pan zmienił, występując w serialu „Szadz” w roli mordercy. Trudno było się pożegnać z rolą ulubieńca fanów komedii romantycznych?**

– Z rolą ulubieńca pożegnałem się po „Pokłosiu”. W kilka dni stałem się raczej wrogiem publicznym. To był szok dla kogoś, kto przez dwadzieścia lat starał się być chłopakiem z sąsiedztwa. A jeśli chodzi o „Szadz”, to już czysta aktorska przyjemność. Bo jeśli ktoś przez całe życie trzyma przysłowiową halabardę, to wyobrażania mu buzuje, jak to jest zagrać króla. Nieraz zastanawiałem się, jak bym wykonał zadanie, gdy to ja byłbym zły. I w pewnym sensie mogę powiedzieć, że to była jedna z najłatwiejszych ról w moim dorobku. Miałem ją przemyślaną od lat. **N**



JEŚLI NIE JEST TYLKO MĘSKĄ ROLĄ ZARABIAĆ I PRZYNOŚIĆ NA PLECACH PRZYSŁOWIOWEGO UPOLOWANEGO BAWOŁU, TO CO NIĄ JEST? TYLKO NIEWIELU Z NAS JEST W STANIE NA TO ODPOWIEDZIEĆ